



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



WIECZORY ZIMOWE.

Oto zima już za pasem!
Smutna pora dżdżu i soty...
Ciągną wrony ponad lasem,
Obsiadają strzechy, płoty...

W polu i wśród drzew gęstwiny
Mrok i pustka smętna gości,
Wicher jeno dmie w sośniny,
I przejmuje aż do kości.

Dzień wciąż krótszy, a noc za to
Jak bez końca nić się przędzie, —
Ale, dziatki, z waszą sratą
Niechaj pora ta nie będzie.

Kiedy w mroku świat zatonie,
Za rodzinnym siądzie stołem,
I w kochanych osób gronie
Pogawędkę wiedźcie społem.

Przy światełku lampy złotem,
Gwarzcie słodko i wesolo,
Jak to żyć na świecie potem,
By mózż z dumą wznosić czolo.

Jak to uczyć się potrzeba,
Ćwiczyć w enocie, pracy, trudzie,
By otrzymać łaskę nieba,
By nas szanowali ludzie...

I zimowe te wieczory
Plon wam dadzą szczodry w lecie
Wątle drzewka do tej pory —
Jako dęby wyrośnięcie!

Wiktor Dzierżanowski.

widoku, wreszcie odejmując lunetę od oczu i wskazując ręką na łańcuch gór, powiedział:

— Poza takim murem granicznym, ludy mogły żyć szczęśliwe i bezpieczne od wszelkiej napaści. Warownia to niezdołana. Wyobraźcie sobie górali ukrytych między załomami skał i obsiadłych zbocza, podczas gdy nieprzyjaciel w dolinie, i grad spadających na niego kamieni.

Jakób odparł:

— Gdy w wieku siedmiastym król Jan Kazimierz wypędzony przez Szwedów, wracał ze Śląska przez okolice tatrzańskie do kraju i napadnięty przez wrogów omal nie zginął, lud góralski ocalił go swemi ciupagami i pociskami kamiennymi. Opisał to Sienkiewicz w swym „Potopie.”

— W jaki kształt układa się rzeźba Tatr?

— Na granicy między Galicyą a Węgrami, rozłożyły się w kształcie olbrzymiego łuku, wydętego lekko ku północy, góry Karpaty. W zachodniej części tego blisko półtora tysiąca kilometrów długiego pasma, Tatry panują nad całym górzystym obszarem, niby olbrzymia wyspa skalista, wynurzająca się z pośród stężyłych fal wzburzonego oceanu. Rozpostarte potężnym łukiem, oparły się obiema końcami o Dunaj. Wody północnych stoków Karpat skupiły się w trzy strumienie i rozbiegły w różne światła strony: Z Wisłą poszły do morza Bałtyckiego, a z Dniestrem i Prutem do Czarnego. Dwie wielkie rzeki, Dunajec i Wag i wiele pomniejszych strumieni i górskich potoków, wypływają z łona Tatr śpiesząc ku tym rzekom, a z niemi w dwie przeciwne strony świata, na Południe i Północ.

— Tę wyspę skalistą otaczają w kształcie dwóch widel, cztery wielkie doliny: Dunajca, Orawy, Wagu i Popradu, przyjąwszy te cztery rzeki za granice obszaru Tatr — dodał Witold.

— Oto co się zowie mówić jasno: zdaje mi się że mógłbym narysować mapę Tatr. Jak też wielką przestrzeń obejmuje sama ta wyspa skalista?

— Sześćdziesiąt mil kwadratowych powierzchni.

— Straszyl nas przewodnik deszczem, a tymczasem nad nami ciągle jaśnieje najpiękniejsza pogoda.

— Ale tam w dolinach deszcz może padać. Byłem nieraz w Tatrach w takim położeniu, że nademną było słońce i najpiękniejsza jaśniała pogoda, a niżej szalała burza z deszczem i piorunami, a czarne chmury czołgały się u stóp naszych. Byliśmy nad chmurami, jak duchy.

— Wrażenie być musiało niezwykle.

(d. c. n.)

NAJLICZNIEJSZY NARÓD NA ŚWIECIE.

Opracowała Tomira.

(Dokończenie).

Spanie na wystudzonym k'ang'u jest bardzo nieprzyjemne, lecz gorzej jeszcze bywa, kiedy wskutek zbyt silnego ognia rozpała się cegły i wśród nocy trzeba zerwać się z postania, by uniknąć upieczenia się żywcem. Cała, niekiedy bardzo liczna rodzina chińska sypia razem na takim przypiecku.

Chińczycy mają zupełnie odmienne pojęcia o wygodzie, niż my. Dla nas np. poduszka jest to worek, napełniony pierzem, na którym opieramy głowę. W Chinach stołeczek bambusowy, kłoc drzewa, a najczęściej cegła, podłożona pod kark, zastępuje poduszkę. Oprzecz kark o twardy przedmiot byłoby dla nas męką, a z pewnością żaden Chińczyk nie zasnąłby znowu, mając pierze pod głową.

Mebłe chińskie są zwykle niezgrabne i bardzo niewygodne. W powszechnem użyciu są wążkie i chwiejne ła-

weczki, na których nawet usiąść niebezpiecznie, gdyż osoba, siadająca na jednym końcu, ławkę przeważyc i przewrócić może.

Chińczycy, jedyni ze wszystkich narodów azyatyckich, używają krzesel. Lecz jakie są te krzesła! Dla nas zdają się one szyćm niewygody: wysokie, o prostym zupełnie grzbiecie i strasznie kańciaste, a tak wielkie, iż zdawałoby się, że przeznaczone są dla osób, ważących setki funtów. Cóż, kiedy trwałość ich nie odpowiada bynajmniej wielkości. Za łada przyczyną rozsypują się w kawałki.

W mieszkaniach bywa zazwyczaj wilgoć i zimno. Są to skutki zbytniej oszczędności w budowie płytkich fundamentów. Podłogi, ubite z ziemi, lub źle wypalonej cegły, przyprowadzają mieszkańców o częste zaziębienia, do czego niemało przyczyniają się niezbyt szczelne drzwi. Lecz choćby szpary najstaranniej zakleić papierem i tak od zimna uchronić się niepodobna, z powodu, iż Chińczycy nie zamykają nigdy drzwi wchodowych.

Kuchnia chińska jest zupełnie do naszej niepodobna. Zamiast kilku oddzielnych fajerek, na których ustawiają się rondle, jak to u nas bywa, ma ona jeden duży, kilkunagrowy, blaszany kocioł. Naraz można jedną tylko gotować tam potrawę.

Sucha trawa i łądygi roślin, służące na opał, spalają się szybko, zatem osoba, pilnująca ognia, skulona przed niskim kominem, musi go nieustannie podsycać.

Para i dym zapełniają całą izbę tak, iż nieprzyzwyczajony cudzoziemiec zdaje się dusić i ślepnąć w takim powietrzu, Chińczycy zaś obojętnie znoszą te niewygody, pomimo, iż w skutek gryzącego dymu nieraz zapadają na oczy.

Mieszkania nie opalają tam nawet w mroźne zimy. Ogrzewa je tylko cokolwiek ciepło z kuchni, przeprowadzone do przypiecka, czyli k'ing'u. Chińczycy ogromnie lubią ciepły ten kącik, nieraz też nazywają go „matką swoją.”

Wspominaliśmy już o obojętności Chińczyków na ścisk i hałas. Tłoczą się oni wszędzie. Czółna np. są tak przepełnione ludźmi, iż z trudnością tam stać lub usiąść można.

Podobny zgiełk i ciasnota panują w zajazdach. Całe szeregi wozów wjeżdżają tam, skrzypią, ludzie krzyczą, biegają, a przejezdny Chińczyk zjada spokojnie kolację, poczem kładzie się i odrzuca zasypia.

Towarzysz jego Europejczyk z połowę nocy męczy się, przysłuchując się strasznym hałasom, jakie ani na chwilę nie ustają. I nie dziw: na dziedzińcu zajazdu rozlega się ryk 50 naraz osłów, skrzypienie wozów, uderzanie kopyt kilkudziesięciu mułów, ujadanie, wycie i skomlenie niezliczonej zgry psów.

Wrzawa i niepokój nie sprawiają widać przykrości Chińczykom, nawet klas wyższych. Za dowód służyć może fakt, iż żona jednego z najpierwszych dygnitarzy państwa w wice-królewskim swym pałacu trzyma około setki kotów.

Wiadomo, że religia buddajska zabrania odbierać życie zwierzętom, jeśli nie wymaga tego konieczna potrzeba. Pod wpływem tej nauki, Chińczycy wzdragają się zabijać biednych, chorych, bezdomnych psów, włóczących się po miastach i wioskach.

Ogromnie przykre wrażenie sprawia na obcych brak wszelkich urządzeń, mających na celu zdrowotność miast.

Wszelkie nieczystości wyrzucają się tam do rynsztoków, skąd robotnicy wybierają je łopatkami, jako materiał do nawożenia roli. Wodociągów w Chinach niema, zatem o czystą wodę bardzo trudno, i w skutek tego do polewania ulic używają się pomyje z całego domu.

Nawet najdawniejsi mieszkańcy Chin nie mogą stanowczo orzec, które z miast Państwa Niebieskiego najwięcej obraża zmysły wzroku i powonienia.

Do rzędu wielkich niedogodności w Chinach zaliczyć też należy brak poczty, ciągle nieporozumienia z powodu niejednakowej monety w państwie i opłakany stan dróg publicznych.

Istnieją wprawdzie prywatne przedsiębiorstwa, przesyłające listy i paczki z jednych okolic kraju do innych oddalonych prowincji, lecz w stosunku do olbrzymich rozmiarów Państwa Niebieskiego, znaczenie ich jest bardzo niewielkie.



Uczeń, sprząający ulicę za karę.

można nosić przy sobie w woreczku, zawieszonym u paska. Przeniesienie zaś kilku sznurów pieniędzy sprawia już kłopot nielada.

Można wprawdzie zamienić miedziaki na sztabki srebra, lecz pociąga to za sobą znaczne straty, bowiem przy zamianie łatwo być oszukanym, tembardziej, że ta sama moneta w każdej prawie okolicy inną wartość posiada. Prócz tego znajduje się jeszcze w obiegu mnóstwo fałszywych pieniędzy, które czasami trudno od prawdziwych odróżnić.

Wszystkie te trudności najdotkliwiej jednak uczuwać się dają cudzoziemcom, Chińczycy zaś zżyli się z niemi i nie uskarżają się na nie.

Przyznać trzeba, że część inteligencji chińskiej obmyśla różne sposoby, za pomocą których pragnie, podnieść potęgę i dobrobyt państwa.

Jedni radzą, by powiększyć w tym celu liczbę wojska, inni chcą wprowadzić nowe gałęzie nauki, pokryć ziemię chińskie siecią kolei żelaznych, telegrafów i t. p., ale partya ciemnych i zacofanych, zwłaszcza licznie rozgałęziona sekta Bokserów, sprzeciwia się wszelkim zmianom i reformom.



Mandaryn chiński.

Wniknąwszy jednak głębiej w życie narodu zdaje się, iż wiele rzeczy zmieniłoby się tam na lepsze, gdyby w sercach Chińczyków było więcej miłości bliźniego, współczucia dla kobiet, dzieci i przebaczenia dla wszystkich, choćby nawet winnych, lecz nieszczęśliwych.

Zmiany tej dokonać może jedynie nauka Chrystusa, która nakazuje miłować nawet nieprzyjaciół nasze.

* * *

Tak więc w szeregu kilkunastu rozdziałów, przedstawiliśmy czytelnikom „Wieczorów” główne cechy charakteru i życia tego „najliczniejszego na świecie narodu,”

a zwłaszcza te, któremi się różni od ludów białych.

Obecnie sprzymierzone wojska państw europejskich, Stanów Zjednoczonych amerykańskich i Japonii, poskromiwszy powstanie Bokserów, którym pono sprzyjał i dwór bogdychana, a głównie cesarzowa regentka, zajęły Pekin oraz ważniejsze punkta nad rzeką Pei-ho i innemi. Roz-

poczęły się już rokowania pokojowe, które mniemać należy położyć koniec tej niepomysłnej dla Chińczyków wojnie.

KONIEC.

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A.

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

— Mili przyjaciele, uspokójcie się, po co ta rozpacz! — perswadował. — Dalekie podróże nie straszą mnie bynajmniej. Przebyć te cztery tysiące mil z Carlestonu do Nebraski, a z Nebraski do Olimpii w Washingtonie jest dla mnie rozrywką, na którą wystarczy mi bezwątpienia tych dni 15, t. j. do 18 b. m. wszędzie bowiem najniezawodniej znajdę do dyspozycji kolej żelazną. Co zaś się tyczy kary pieniężnej, na teraz nie obchodzą mnie one wcale; kasa Trybuny załatwi się z tem punktualnie, a jeśli zmuszony jestem cofnąć się o kilka przedziałek, czyż to już tak wielkie nieszczęście?

Bądźcie pewni, że w następnym ciągu pewnie powetuję to sowicie!..

I jakże tu nie mieć zaufania do człowieka, który jest tak pewny swej sprawy, jakże nie stawiać na niego nowych kwot, jakże mu skąpić oklasków i wiwatów pożegnalnych przy odjeździe, którego nie odkładał Kymbale, wyruszając jeszcze tego samego wieczora.

Pierwszą część drogi, jaką miał przed sobą, przejechali dotychczas już kilka razy inni partnerzy i pewnie nieraz jeszcze do ukończenia gry znajdą się na niej. I Kymbalowi niemniej znaną ona była, więc też nie żałował, że dla pospiechu nie mógł zatrzymać się nigdzie. Tak przybył dnia następnego wieczorem do Saint Louis w Missouri, skąd uznał za pewniejsze nie jechać parowcem, lecz kolejną przez Kansas City do Omahy; tam wypadło mu przepędzić noc w oczekiwaniu odpowiedniego pociągu i tam też otrzymał telegram od sekretarza Trybuny z następującym planem dalszej podróży:

„Opuścić Omahę pociągiem na linii „Union Pacific” o 7-iej rano, aby stanąć w Julesbourg o 6-iej wieczorem. Z tamtąd pojazdem rozstawionemi kołami, (wszystko z naszego rozporządzenia przygotowane) dojechać do „Złej Ziemi” w Nebrasce, co powinno nastąpić nazajutrz rano; kazać zaświadczyć tam swą obecność, wrócić do Julesbourga i wieczorem o 10-iej wsiąść do pociągu na linii Union, a następnie Southern Pacific; stanąć można w Sacramento, w Kalifornii, wieczorem 12-go. Przepędzić noc w tem mieście i nazajutrz jechać linią kolei do górnej Kalifornii, do stacji Shasta. Tam niestety dalsza komunikacja czasowo dla naprawy drogi jest przerwana. a że wozy pocztowe zbyt wolno kursują, przeto najbezpieczniej te sto czterdzieści mil odbyć konno do stacji Regensbourga. To pochłonie cztery dni czasu, licząc po 35 mil na dobę. Z Re-



Aktor chiński.

Regensbourga wyjechać należy pociągiem popołudniowym, aby tanąć w Olimpii już 18-go rano.

Uwaga. Pan Harris T. Kymbale jest proszony, by przysłał się jaknajściślej podanego planu, bo od tego jedynie zawisło szczęśliwe zakończenie podróży; a nie tylko dla niego samego jest to rzeczą ważną.

Kymbale odczytał ten nieco długi, ale też nadzwyczaj dokładny telegram bardzo uważnie i pomyślał:

— Ze się zastosuję do tego, nie ulega wątpliwości, byle tylko nie zaszła jaka nieprzewidziana przeszkoda, bo rzeczywiście dużo czasu do stracenia nie mam!

Dla oszczędności też tego drogiego teraz czasu, przeczorny dziennikarz starał się jaknajmniej dać poznać, aby

uniknąć ceremonialnych przyjęć; ale już w Julesbourgu nie mógł zachować incognito, gdyż przyjazd jego stał się wiadomy od chwili zamówienia przez Trybunę bryczki dla czwartego partnera. Wszakże ci, którzy oczekiwali go na dworcu nadto mu dobrze życzyli, by nie mieli wyrozumieć koniecznego pośpiechu. Nawet między Anglo-Amerykanami i tymi Siouksami, którzy przyjęci już zostali jako obywatela Stanów Zjednoczonych, znalazło się kilku, którzy postanowili towarzyszyć Kymbalowi w owej podróży, w której trochę liczniejsze i w broń zaopatrzone towarzystwo, łatwiej sobie da radę niżeli pojedynczy człowiek w napaści dwunożnych i czteronożnych dzikich, jakich tam nierzadko jeszcze spotkać można.

Stan Nebraska, który zrasza rzeka La Platte albo Nebraska River, dopływ Missouri, do niedawna jeszcze dziki, znajduje się w pierwszej epoce rozwoju, lecz zwiększająca się ciągle ludność daje rękomię dalszego postępu. Dwa też tylko większe miasta zasługują tu na zaznaczenie: Lincoln, jako siedziba władz administracyjnych i Nebraska-City, nad brzegiem spławnej Missouri.

Brak też tam jeszcze dróg i gościńców i woźnica pana Kymbala kierował się jedynie śladami przejeżdżających tamże dawniej furgonów, a przez rzeki i strumienie wypadało przeprować się w pław.

W ten sposób przybyli podróżni 8-go wieczorem do okolicy zwanej „Złe ziemie,” gdzie rozległe łąki stanowią doskonałą paszę dla koni i bydła, lecz gdzie brak zupełnie nieszkań ludzkich. Rozłożono się więc na nocny spoczynek pod gofem niebem, korzystając z przyjaznej pogody, zabrane zapasy żywności i parę butelek whisky podtrzymały dobry humor przygodnych biesiadników. Po dobrze spędzonej nocy, musiano już zgodzić się na dojście pieszo w dolinę ukrytą między skałami i wzgórzami, wśród których gmatwanina prześcisła i wązów przedstawiła istny labirynt, imponujący swą dzikością i rozmiarami.

— Zaprawdę, nie mógł William Hyperbone dobrać odpowiedniejszej miejscowości dla czterdziestej drugiej

przedziałki swej gry — zawołał Kymbale, rozpatrując się dokoła tego wgłębienia, stanowiącego prawdopodobnie w czasach przedhistorycznych zbiornik dla wód zlewających się z gór Skalistych i Black Hills, które dziś inny przyjęły kierunek, zostawiając wyschłe piaszczyste dno, bogate w wykopaliska przedpotopowego świata zwierzęcego.

Lecz zabrana broń przez Kymbalą i jego towarzyszy służyć mogła raczej ku obronie od włóczących się dzikich band Siuksów i Dakotów aniżeli na upolowanie zwierzyny. Wypadkowo bowiem tylko zabląka się tu jakie stado bizonów, bawołów z wełnistą sierścią lub dzikich kóz z długimi rogami; tak odstrasza ich od tego ustronia zupełny brak pożywienia.

Do pow. Testament Dziwaka.



Kymbale i towarzysze napadnięci przez wilki.

Ponieważ nie było koniecznym, aby czwarty partner zapuszczał się w głąb Labiryntu, który wzniosła potężna przyroda, więc przekroczywszy zaledwie jej próg, spisał w krótkich słowach akt swej tu obecności, potwierdzony podpisami przybyłych z nim obywateli Nebraski. Lecz dowodu tego nie zostawił tak jak Urican w Dolinie Śmierci, pod strażą kamienia, uznając za odpowiednie zabrać go z sobą.

Droga powrotna zarówno jak w tamtą stronę odbyła się bez ważniejszego wypadku, i dziennikarz wrócił na stację w Julesbourgu w samą porę, by zakupić bilet do pociągu na linii Union-Pacific. W chwili odjazdu zagrzmiały okrzyki pozostałych na peronie przyjaciół:

— Niech żyje Kymbale!... Niech żyje spadkobierca milionów Hyperbona! Sława Fioletowemu sztandarowi!..

Już w podróży Reala do Cheyenne, Titburego do Great Salt Lake City i Uricana do Doliny Śmierci, znane nam są kraje i miasta, na które czwarty partner rzucił teraz przelotne spojrzenia, z szybko dążącego naprzód pociągu ciągle w kierunku wschodnim aż do Sacramento, stolicy Kalifornii, gdzie stanął nocą 11-go czerwca, powitany przez korespondenta Trybuny, pana Will Waltera.

— Jakże mi przyjemnie — rzekł tenże — żeś zdołał, szanowny kolego, zwyciężyć trudy pierwszej połowy obecnej podróży i obyś tak szczęśliwie stanął u ostatecznego jej kresu, w Olimpii.

— Dobre życzenia zawsze z wdzięcznością przyjmuję — odparł Kymbale, zamieniając serdeczny uścisk ręki.

— Przykrą jest tylko rzeczą owa przerwa w komunikacji kolejowej od Shasta — mówił dalej Will Walter — lecz przygotowałem już tam dobre wierzchowce i przewodnika, który znając dokładnie okolicę przeprowadzi cię najprostszą drogą do Regensbourga, skąd już znowu kursują pociągi aż do samej Olimpii.

— Dziękuję, szczerze dziękuję za tak uprzejmie podjęte trudy.

— Zasługa niewielka, jestem bowiem sam w tem interesowany, założywszy się o ciebie.

— Na jaką sumę?

— Jeden przeciw pięciu.

— Ze ci życze wygranej, chyba nie wątpisz o tem przyjacielu, a teraz do widzenia!

— Do widzenia, i szczęśliwej podróży!...

Po lini tej do Górnej Kalifornii pociągi idą znacznie wolniej, zmuszone pnać się ciągle w górę, ale Kymbale przygotowany na to, jechał spokojny o swe losy. Tak minął nieliczne zresztą stacje, aby zatrzymać się na krótko w Maryswille, które znacznie podupadło, jak w ogóle wszystkie okoliczne miasta i miasteczka, od czasu gdy wyczerpane tu zostały pokłady złota, i poszukiwacze jego przenieśli się więcej ku północy i na Alaskę. Nareszcie rano 13-go stanął w Shasta, skąd dla przerwanej komunikacji kolejowej wypadało część dalszej drogi aż do Regensburga odbyć konno, a choć dziennikarz uprawiający wszelkie sporty, dobrym był też jeźdźcem, nie będzie to bynajmniej małym trudem owe cztery dni jazdy konnej, licząc po trzydzieści mil na dobę; a mniej w żaden sposób nie można, gdyż miał już zaledwie wszystkiego pięć dni do oznaczonego terminu.

Dobrze i tak, że dzięki Will Walterowi znalazł konie doborowe i wytrzymałości wielkiej, jak to od razu osądził okiem znawcy. Oprócz przewodnika towarzyszył mu jeszcze chłopiec stajenny.

— Gotowi jesteście do drogi? — zapytał Kymbale przewodnika, człowieka w sile wieku.

— Gotowi, panie, możemy zaraz jechać — brzmiała odpowiedź.

— A jak długo potrwa droga, czy staniemy na czas?

— Jeżeliś pan wprawnym jeźdźcem zdążymy pewno, z częstymi odpoczynkami trzeba drugie tyle czasu.

— Za siebie ręczę, a więc dalejże naprzód!...

Jechano drogą po prawym wybrzeżu Sacramento, z krótkimi odpoczynkami, koniecznymi dla koni, dla których o paszę nie było trudno w licznych tu osadach i miasteczkach, a na noc zatrzymano się w Butler, którego okolicy bogate są, jak zresztą wiele ziem w Ameryce, w źródła mineralne. Drugi z kolei spoczynek wypadł w Yreka, skąd o jakie sto mil wznosi się wysoki na tysiąc dwieście stóp wulkan Shasta, cel wycieczek amatorów turystów, jako przedstawiający widok niezwykły z migotliwą lawą różowej barwy. Niestety Kymbalowi nie wolno było ani na krok zbaczać z najprostszej drogi. Tym razem turysta ustąpić musiał pierwszeństwa partnerowi. Stan Oregon, na którego terytorium znalazł się teraz dziennikarz, choć obszerny, dość słabo jest jeszcze zaludniony. Piękne pastwiska dla bydła i połów łososi ściągają tu głównie osadników, jakkolwiek i grunt żyzny bardzo nadaje się pod uprawę rolną.

Na dłuższy znowu spoczynek wybrał przewodnik Jackson. Jak widzimy miast tego nazwiska nie brak w Stanach Zjednoczonych. Znajdziemy je w Michigan, w Missisipi, w Tenessee, w Ohio, w Illinois, a nawet na Florydzie.

Dzień następny t. j. 16-ty czerwca był już ostatnim owej podróży konnej, i zarówno ludzie jak zwierzęta przybyli wieczorem mocno utrudzeni do Rosenburga. Mimo to Kymbale, nie poskapiwszy ani sowitej nagrody, ani szczerych słów podziękii uczciwemu przewodnikowi, wskoczył zaraz do pierwszego pociągu, jadącego do Olimpii, przez piękną, bogatą dolinę, gdzie miasta: Vinchester, Harrisburg, Salem, stolica Stanu i liczne inne, nęcą wzrok podróżnego, niby świeże kosze kwiatów wśród bujnej zieleności; tylko w Oregon i Portland kwitnie przemysł papierowy i cukierniczy.

Nareszcie pociąg przejechał most na rzece, która tworzy naturalną granicę między stanami: Oregon i Washington i zatrzymał się w Vancouver 18-go o 6-ej rano; pozostawało zatem Kymbalowi zaledwie sześć godzin na dokonanie tej tak pospiesznej podróży, że odmawiać musiał sobie najmilszych mu przyjemności turysty. A warto byłoby zapoznać się z tą krainą, której nadano imię wielkiego bohatera i która zostaje też w pełnym rozwoju

dobrobytu, choć nabyło ją państwo dopiero w 1859 roku. Wprawdzie Olimpia z portem Puget-Sound ma przywilej stolicy, większe wszakże od niej są Saettle, a szczególnie Tacoma, prowadzące bardzo ożywiony handel z Japonią i Chinami.

Teraz już tylko sześć stacyi, a czwarty partner stawi się najpункtualniej w Olimpii po odbiór telegramu. Pociąg spieszył dość szybko po drodze z licznymi mostami na dopływach Columbi, gdy naraz o 10-ej godzinie minut 3 zatrzymany został przy Tenino o czterdzieści mil od stolicy.

— Co się stało, po co ta zwłoka? — pyta Kymbale zaniepokojony.

— Most na rzece, o dwie mile stąd, zniosła tej nocy wezbrana woda — odpowiada konduktor — i dalsza komunikacja czasowo jest przerwana.

— A to fatalizm! Teraz już sprawa moja niepowrotnie stracona! — zawołał dziennikarz zrozpaczony — teraz już niema dla mnie ratunku!...

— Jest, jest ratunek!... — odezwały się głosy z peronu — wysiadaj pan tylko prędko, a przedewszystkiem: czy umiesz jechać na bicyklu?

— Doskonale.. odbywałem już dalekie kursa.

— Zatem siadaj pan na moje miejsce, przyjaciele moi będą ci towarzyszyć. Jedźcie bez straty chwili, ja tu na was poczekam — rzekł jeden z trzech młodzieńców — którzy dowiedziawszy się o zaszłej przeszkodzie w dokonaniu podróży czwartego partnera, przybyli tu umyślnie ze swym kołowcem o trzech siedzeniach, by mogli go dowieść do celu.

— Oddajesz mi pan olbrzymią usługę, za którą nie wiem, kiedy i jak będę ci mógł się odwdziżyć — rzekł Kymbale szczerze uradowany.

— Niczem więcej tylko, wygrywając partję — odpowiedział młodzieniec — bo i ja wtenczas wygram mój zakład.

Tandem, na którym Kymbale zajął spieszenie wskazane sobie środkowe miejsce, między obu nowymi swymi przyjaciółmi, pochodził z fabryki Cambden et C-o w Nowym Yorku i był maszyną wyprobowaną już wartości na sławnym wyścigu międzynarodowym kołowców, w Chicago. Trzej bowiem jego właściciele uprawiali ten sport bynajmniej nie po amatorsku, Byli to cykliści, tacy jakich nawet Ameryka nie wielu posiada.

Co za śliczna jazda! Niby błyskawica biegła maszyna po gościńcu, równym jak posadzka. Z chwilą ruszenia z miejsca, milczenie zaległo wśród jadących, którzy dla ochrony płuc, a łatwiejszego oddechu, trzymali w ustach krótko przyciętą rurkę z pióra gęsiego i tak nieco podani naprzód, wprawnym ruchem nóg, bez wielkiego nawet wysiłku, mknęli naprzód i naprzód, zostawiając tylko tuman pyłu za sobą,

Zaledwie też po kwadransie takiego pospiechu sprawdzili na przydrożnym kamieniu, że zdążyli już przebyć całych pięć mil; należało więc utrzymać ten sam stosunek, by stanąć u celu nie później jak o parę minut przed południem.

Aby mogła zająć i teraz jeszcze jaka przeszkoda, któżby się niepokoił. Aż tu nagle, właśnie gdy przejeżdżano przez obszerną równinę, zarosłą wysoką trawą dało się słyszeć straszne wycie, raz pojedyncze to znów gromadne.

— To koyoty — zawołał jeden z cyklistów, wypuszczając z silnego wrażenia swe piórko z ust.

Nie omylił się niestety. Cała gromada tych dzikich wilków z pręży amerykańskich, zbliżyła się ku nim prześcigając w szybkości nawet lotem strzały sunący kołowiec.

— Masz pan z sobą rewolwer? — zapytał Kymbala rowerzysta, siedzący na przodzie.

— Mam — odpowiedział dziennikarz.

— Trzymaj go zatem gotowym do strzału, to samo i ty Flecku — rzekł zwracając się do przyjaciela — ja tymczasem będę kierował, niech jednak pedały nie ustają

w ruchu, może nam się uda uciec przed tą bandą żarłoczną. Uciec? Czyż możebne!... Już, już o kilka za- ledwie kroków od jadących migają rozwarłe pyski i strasz- ne kły zgłodniałych wilczysków. Niech choć na chwilę za- trzyma się bicykl, a śmierć trzech tych ludzi jest niechyb- ną. Dwa równocześnie rozległy się strzały i dwa koyoty padły śmiertelnie ranione, lecz gromada ze zdwojoną siłą ponowiła napaść.

(d. c. n.)

Kartka z dzienniczka księżniczki Elżuni.*)

Dnia 4-go Stycznia R. P. 1769.

Otóż i doczekałam weselszych dni: 28-go grudnia w smutną uroczystość „Młodzianków” odwiedziła państwa starościna Górka, która przywiozła nam zaproszenie od swojej matki na ucztę noworoczną do Służewa, pięknej włości położonej za Mokotowem, nieopodal Wilanowa.

Pani starościna nalegała na księżną panią, aby pozwoiliła jej zabrać mnie z sobą wcześniej; powiedziała, że w Służewie stare obyczaje są ściśle zachowywane, że napa- trzę się przeto w wigilię Nowego Roku wielu ciekawych rzeczy i zabawię się wesoło, bo starościna zaprosiła gości nie tylko z sąsiedztwa, lecz i ze stolicy. Wymieniając nazwiska niektórych, starościna wspomniała kasztelana Za- krzewskiego.

Księżna pani atoli drożyła się z udzieleniem pozwole- nia, tłumacząc się tem, że przyzwoita panna dzień Nowego Roku winna z rodzicami spędzić, a księżę pan obawia się dalszych wycieczek. Na tak poważne argumentum nie śmiałam słowa powiedzieć i chociaż w duszy westchnęłam, bo wyznaję ze wstydem, że mimo słów księżnej pani okrut- ną miałam ochotę pojechać do Służewa ze starościna, mil- czałam wszakże, nawet wzrokiem nie próbowałam prosić o pozwolenie. Niespodziane wejście księcia pana rozstrzy- gnęło na moją korzyść tę niepewną sprawę. Usłyszawszy z ust starościny ponowioną prośbę, rzekł wesoło:

— Z łaski Boga czuję się lepiej, mróz wilgoć w po- wietrzu wytępił, do Służewa niedaleka droga, przyjedziemy na sumę do kościoła, a potem złożymy nasze homagium i życzenia mieszkańcom dworu. Elżunia, może jechać z wać- panią, Nowy Rok spędzimy razem!

Na te słowa krew uderzyła mi do twarzy, serce zabiło tak silnie, iż straciłam niemal przytomność i zapomniawszy co wypada a nie wypada, pochyliłam się do kolan księcia z podziękowaniem, księżna pani, która niezmiernie surowo przestrzega etykiety, zgromiła mnie za to spojrzeniem, lecz księżę był śnać tego dnia w dziwnie wesołym usposobieniu, bo uśmiechnął się i wzięwszy mnie za oba ramiona, pocało- wał w czoło, a potem zwrócił się do starościny i rzekł:

— Jako widzicie, mościa pani, z naszej Elżuni jeszcze dziecko wielkie, zwróćcie przeto na nią iście macierzyńskie oko, gdy pod waszą opieką ostanie, aby przez jej żywość nie spadła na nią jakowa konfuzya.

I nazajutrz pojechałam do Służewa, a piękny był to dzień: słońce jasno świeciło, puszysty śnieg zaścięłał drogę. Lecieliśmy, jak ptaki, sankami kształtu łabędzia, którego bielutkie skrzydła rozkładają się po bokach, z pięknie wy- giętą szyją z przodu. Dwa ręce białe rumaki ciągnęły nas chyżo, srebrem tkana siatka rozpostarta nad nimi,

chroniła nas od grudek śniegu, które z pod ich kopyt wzbi- jały się w górę.

Obok naszych sani jechali konno imé pan starosta Górski, mąż mej opiekunki, w fioletowym stroju i kołpaku sobolowym, oraz iné pan podczaszyc Służewski, brat staro- ściny; obaj dosiadali pięknych gniadoszów. Trzecim był kasztelan Zakrzewski, w deli amarantowej na czarnym rumaku. U sobolowego jego kołpaka świecił brylant wiel- kości orzecha laskowego, który rzucał tak migotliwe blaski, że ilekroć spojrzałam na kasztelana, mrużyłam oczy a on właśnie coraz ku nam się pochylał, podkręcając sumiastego wąsa, to z żartem, to z pytaniem troskliwym, czy nie jest nam zimno. Zdało mi się, żeśmy dłużej nad minut kilka nie jechali, a jednak, gdy wyjeżdżaliśmy z miasta, działo stojące na wale zamkowym oznajmiło południe, kiedym zaś spojrzała na piękny zegar gdański stojący, w sieni służeń- skiego dworu, spostrzegłam, że to już pierwsza.

Imci pani podczaszyna Służewska, matrona wiekiem poważna, o dziwnie słodkim wyrazie twarzy, powitała mnie niezmiernie serdecznie i gdy pochyliła się do jej kolan, objęła mnie ramieniem i pocałowałwszy w oba policzki, rzekła:

— Mróz figlarz rzucił na waszmościanki lica dwie przesłieciane róże.

Niebawem po przybyciu zasiedliśmy do stołu, przy którym pan starosta i pan Służewski tak krotocwilnie żar- ty sypali, iż służba zabierała nietknięte potrawy ode mnie, a pani podczaszyna upominała co chwila zięcia i syna, że mnie zagłodzą. Lecz starosta utrzymywał, iż młodemu zdrowszym jest śmiech od kawałka mięsa.

— A wie waszmościanka, jakowi goście nawiedzają nasz dwór w wigilię Nowego Roku? — zwrócił się naraz do mnie z pytaniem, i nie czekając odpowiedzi dodał grubym głosem: — wilki i niedźwiedzie.

Wyznaję, iż dreszcz mnie przeszedł i pełne niepokoju spojrzenie podniosłam na starościnę, która rozśmiała się wesoło.

— Czyżbyś małego ducha była niewiastą? — zapyta- ła — toć młodzieży rycerskiej nam nie brak, polegaj na nich!

— Bądź waszmościanka spokojna, moja szabla i moja rusznica zasłonią ją w każdej potrzebie — odezwał się ka- sztelanic.

Po skończonym obiedzie poszliśmy do sali gościnnej, gdzie kasztelanic umiejętną grą na klawicymbale uprzyjem- niał nam czas, poczem zabawialiśmy się rozmową o spra- wach ogólnych, a rozmowa ta nastroiła mnie nader powa- żnie; pani starościna mogła teraz nie zwracać na mnie ma- cierzynskiego spojrzenia, bo nie groziło niebezpieczeństwo, abym, podniecona wesołością dziecinną, jaką pustotą po- pełniła.

Dzień następny zbiegł nam szybko. Po śniadaniu pojechaliśmy na mszę św. do kościoła, a potem aż do Wila- nowa.

W Wilanowie mieliśmy spocząć godzinę, lecz państwa Lubomirskich nie zastaliśmy. Wyznaję, nie byłam z tego nierada, bo wystarczało mi towarzystwo tych, których miałam w Służewie. Obiad tego dnia podano o wiele póź- niej niż poprzedniego, gdyż podczaszyc wybrał się do nie- których sąsiadów z zaproszeniami na Nowy Rok i czeka- liśmy na niego. Wróciwszy, oznajmił matce, iż może ocze- kiwać około 60 osób do biesiadnego stołu i że pani podsto- lina Odlanicka przyjedzie w Wigilię z trzema córkami i z synem, aby pauny wraz ze mną wróżbami na przyszły rok się zabawiły.

W domu księstwa nie było to we zwyczaju, wy- znaję więc, iż wielce byłam zaciekawioną i pochyliwszy się do pani Górskiej, zapytałam, co będziemy robiły? Lecz ona odparła:

— Zobaczysz jutro waćpanna, a dziś pamiętaj, że ciekawość: to pierwszy stopień do piekła.

Nie pytałam więcej, choć ciekawość srożej mną jeszcze zawładła. Nazajutrz około południa, przed dwór służeń-

*) Ostatnie to już kartki z tego dzienniczka. Pierwszą z opisem świąt Wielkanocnych umieściliśmy w N-rze 15-ym roku 1898, drugą rok temu. Opisała w niej Elżunia obrzędy adwen- towe i Wigilię w pałacu rodzicielskim w Warszawie, które spędzi- ła dość samotnie z siostrą z powodu słabości ojca. Jest to dal- szy ciąg tych świąt.

ski zajechała karoca na saniach, z której wysiadła wielce otyła jejmość, trzy smukłe jak topolki panienki i młodzieniaszek, z małym zaledwie wąsikiem. Była to pani Odlanicka z córkami i synem; biedaczka z powodu niezmiernie tuszy szła z trudnością, przechylając się z boku na bok, córki jej były za to tak szczupłe w pasie, iż prawie lęk brał, by się nie złamały. Która z nich była najstarszą, która najmłodszą, trudno było zgadnąć; dygnawszy nisko podczaszywie i staroście, panienki zwróciły się do mnie i pocałowałyśmy się jak siostry.

— Te powiedzą mi, jakie wróżby będziemy czyniły — pomyślałam — zapytam je, skoro tylko znajdziemy się same.

Lecz pani Służewska zaprosiła gości do jadalni na śniadanie i przesiadliśmy do samego południa przy stole, poczem starościna poprowadziła podstolinę z córkami do przeznaczonych dla nich komnat, aby zmieniły podróżne ubranie na strojnieszę; spodziewano się bowiem jeszcze wiele osób na obiad. Spotkałam więc znowu panienki w licznej gronie; pytać o wróżby nie wypadało, tem więcej, iż panowie starsi toczyli poważne dyskusye, dotyczące losów całego kraju.

Późno już było, gdy gospodyni powstawszy od stołu, rzekła:

— Zabawiajcie się waszmościowie dalej przy kieliszku dyskursami, my niewiasty oddalimy się, godzina wróżb się zbliża.

Na te słowa roześmieli się panowie, zaś kasztelan Zakrzewski zbliżył się do mnie i rzekł:

— Chciałbym wiedzieć, kogo księżniczka ujrzy w zwierciadle; niecierpliwie będę oczekiwał powrotu waszmościanek.

(d. n.)

Wystawa kart pocztowych.

Ponieważ wielu naszych czytelników zajmuje się zbieraniem ozdobnych kart pocztowych, uważany za stosowne wspomnieć o pierwszej wystawie tych kart, urządzonej obecnie w Warszawie na dochód Towarzystwa Dobroczynności.

Czytelnicy „Wieczorów” wiedzą już z pracy p. Z. Bukowieckiej „Poczty,” że otwarte karty pocztowe wprowadzono w Europie w r. 1874, ale zaledwie od paru lat zaczęto przyozdabiać je rysunkami, najprzód widokami różnych miejscowości, potem rozmaitemi winietami, reprodukcjami celniejszych obrazów, portretami zasłużonych osób i t. p. Dzisiaj ozdobne karty pocztowe wyrabiają w ogromnej ilości, pracują nad nimi artyści malarze, litografii, fotografii, i wiele osób zarówno starszych jak i młodszych zajmuje się ich zbieraniem.

Zapewne, że takie zbieranie nie przynosi wiele pożytku, ale jako rozrywka niewinna a przyjemna, nie zasługuje

na nagane, byleby nie poświęcać się jej ze zbyt dużą przesadą i baczyć na to, aby dobór kart był rzeczywiście gustowny i ładny. Przedewszystkiem radzimy zbierającym, żeby starali się wybierać karty wyrobu krajowego, oraz widoki ciekawych miejscowości, których oglądanie może w sposób przyjemny urozmaicić naukę geografii.

Ale wracajmy do naszej wystawy. W wielkiej sali ratuszowej na dużych ekranach umieszczono: 1) karty z autografami i rysunkami pisarzy, uczonych, artystów, muzyków i innych znanych osób w liczbie około 300. Widzimy tam zdania i podobizny Sienkiewicza, Deotymy, Siemiradzkiego, Pługa i wielu innych polskich i zagranicznych autorów. 2) Dwa dzieścia pięć zbiorów osób prywatnych, (około 40,000 sztuk) rozmieszczonych według rozmiarów. Na jednym karty tworzą napisy: „Sienkiewicz” „Czy moje karty ładne?” i t. p. Na innych układają się w obrazy, wachlarze i różne desenie. Jest wśród tych zbiorów wiele kart i całych cyklów bardzo ładnych i rzadkich. Jeden pan wystawił aż 8000 sztuk.

3) Projekty artystów malarzy do nowych kart, i 4) liczne karty wydawców kart ozdobnych z Warszawy i Lublina.

W sali gra orkiestra i wieczorami przedstawiają „żywe karty pocztowe” czyli wzory winiet z żywych układane osób. W przyległym salonie urzędnik pocztowy sprzedaje marki pocztowe i przyjmuje do skrzynki kartki pisane na wystawie. Nic więc dziwnego, że wystawa cieszy się wielkim powodzeniem, który jej, zwłaszcza ze względu na piękną cel, szczerze życzymy.

Redakcja „Wieczorów” roześle tym ze swoich prenumeratorów z poza Warszawy, o których wie, że zbierają karty, specjalną kartę, wydaną przez komitet wystawowy.

Synowie Rubensa.

Rycina na pierwszej stronie dzisiejszego numeru jest reprodukcją słynnego obrazu, znajdującego się w galerii Dreźnieńskiej. Przedstawia dwóch chłopców w przeslicznych ubiorach, noszonych w zachodniej Europie przez możniejsze sfery około r. 1600. A ci chłopcy to nie pierwsi lepsi, są to Albert i Mikołaj, synowie znakomitego malarza niderlandzkiego, Piotra Pawła Rubensa (1577 — 1640), głównego mistrza wraz z Rembrandtem i Van Dyckiem, szkoły holenderskiej. Obraz ten podwójnie jest cenny, jako dzieło wielkiego artysty a zarazem kochającego ojca, który w wykonanie portretu swych chłopców wlał całą siłę swego talentu.

Do niniejszego numeru dołącza się katalog gwiazdkowy księgarni M. Arcta w Warszawie, Nowy-Swiat Nr. 53, zawierający wielki wybór książek na podarki; oraz Prospekt Gazety Polskiej na rok 1901.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

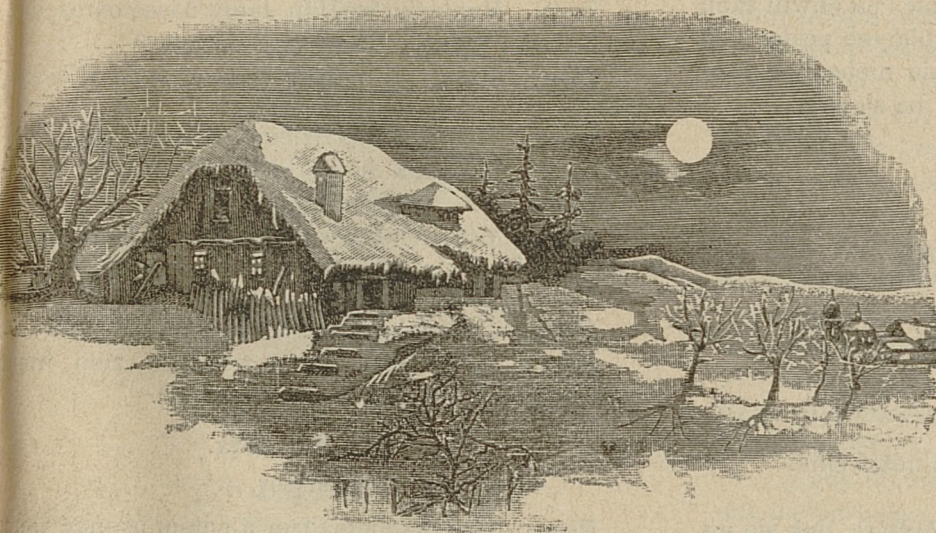
W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Synowie Rubensa (z ryc.) — Wieczory zimowe, wiersz przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Róża bez kolców, opowiadanie esnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Najlicniejszy naród na świecie, opracowała Tomira (z ryc.) — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Kartka z dzienniczka księżniczki Elżuni. — Wystawa kart pocztowych. Dodatek: Pierwsza kolenda (z ryc.) — List do aniolka, komedyjka w jednym akcie przez Z. Potworowską. — Dzienniczek Wandzi. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Mały książę, powieść z życia żaków, według I. J. Kraszewskiego, przez Zofię Mrozowicką.

PIERWSZA KOLENDA.

(Z podań pastuszków).



Najbiedniejszymi ze wszystkich pastuszków w okolicy byli Maciuś i Kuba. Wszyscy inni pastuszkowie mieli tądko ładnych krów i trzody owiec, z których śliczna, raz do roku strzyżona, wełna służyła im na sukmanki, mleko zaś na pożywienie i na wyrób serków, chętnie kupowanych przez mieszkańców małego, sąsiedniego miasteczka. Ale Kuba i Maciuś mieli we dwóch jedną tylko owieczkę — to właściwie należała ona jedynie do Kuby, który przez grzeczność jeno pozwalał Maciusiowi nazywać ją swoją i pasać razem na wzgórkach, pod którym wykuta w skale stajenka, była schronieniem pasterzy i ich dobytku.

Dla tej owieczki wyszukiwali chłopcy pola najobficiej pokryte trawą, czesali i myli ją tak starannie, że była całkiem podobna do owych ślicznych baranków z cukru, które na wielkanoc zdobią stoły ze świeconem, a ona też wywdzięczała im się za dobrą opiekę, darząc ich obficie smacznym swym mlekiem i wełną bielutką.

Miał ci jeszcze Maciuś fujarczynę, co ją sobie wytrugał z wierzby — ale mu Kuba na niej grywać nie dawał.

— Nie umiesz — mawiał do niego — ty sobie dmuchasz, a ona sobie śpiewa. Cobyś miał uciąć oberka albo trakowiaka od ucha, żebyśwa się poweselili i potańczyli trochę, to ty jeno zawodzisz na niej jakieś smutne piosenki, że się człowiekowi cni i na płacz zbiera.

I rzeczywiście, albo fujarka była źle zastrugana, albo może Maciuś grać na niej ładnie nie umiał, bo ludziska nigdy nie chcieli słuchać jego muzyki, a ten i ów mówił nawet pono, że fujarkę zaczarował ktoś chyba, bo wszystko w niej płakało tylko i skarżyło się żałośnie. A że Maciuś był dobry i nie chciał nikomu robić przykrości, chował więc fujarkę w rękaw starej matczynej kapoty, która dniem i nocą, zimą i latem jedynym jego była przydziewkiem.

Wieczorem, gdy w okolo nich pasterze wraz z trzodami swemi rozsiedli się na wzgórzach a pozapalawszy ogniska i spożywszy wieczorny posiłek, do snu się gotowali, Kuba i Maciuś, także wyszukawszy sobie zaciszny kącik, otulali owieczkę we własne świtki, aby jej rosa i zimno dokuczyć nie mogły — a sami, owinięci w sukmanki, kładli się na twardej ziemi i zadarłszy noski do góry, spoglądali w niebo. A takie ono zasiane złotymi paciorkami, jakby nieprzymierzając kto pięknego, największego grochu garścią nabrał i rozsiał po wielkim, czarnym polu. A mruga to na człowieka i ciągnie ku sobie, jak gdyby mówić chciało: „nie patrzajta ciągle pod nogi, nie pelzajta po ziemi z robaczkami podłemi i wszelaką gadziną! Ale jako te skowronki podlećcie ku niebu, abyście się choć zdaleka napatrzeć mogli wszystkim moim cudownościom.”

W wyjątkowo tylko chłodne noce zapędzali pastuszkowie bydelko do pobliskiej stajenki, co przyczepiona jak gniazdo ptasie ponad skalistym urwiskiem, od wieków stała na uboczu, zdala od zgiełku i gwarów miasteczka.

Wszystko to działo się w kraju wcale niepodobnym do naszego; w dalekiej Palestynie, gdzie najcudniejszy kwiat Boży, jakiego oko ludzkie jeszcze nie widziało — zdawna wyczekiwany przez wszystkie narody ziemi, miał wtedy właśnie wykwitnąć z suchej róższki Jessego, wśród twardych serc ludu Izraelskiego, w skalistym żłobku, stajenki Betleemskiej.

Pewnego zimowego wieczoru, chłopcy jak i codzien-

nie zmówiwszy pacierze, położyli się na murawie, aby użyć spoczynku nocnego.

W okolo nich cichł gwar zabierających się do snu pasterzy. Stada owiec i bydła pokładły się na okolicznych wzgórzach i dolinach, i porykując od czasu do czasu, przeżuwały w spokoju całodzienną strawę.

Kuba i Maciuś wlepili oczy w ciemne, gwiazdami zasiane sklepienie i napatrzyć się dosyć nie mogli. Złote gwiazdy mrugały na nich z góry, zdawały się coraz bliższe i jaśniejsze, aż w końcu tuż nad głowami ich zawisły.

Może to gwiazdy — a może oczy od jakichś lekkich białych postaci, co skrzydłami do obłoków podobnemi zamiatają po niebie prochy złociste?

Kuba i Maciuś coraz to szerzej otwierają buzie, dziwiąc się okrutnie, ale za to oczy znużone drganiem niebieskich światełek, poczynają przymykać i po chwili sami już nie wiedzą dobrze, czy skrzydła białych postaci ich zagarniają do nieba, czy też przeciwnie niebo całe z zastępem cherubów i aniołów zsunęło się na ziemię.

(d. c. n.)

LIST DO ANIOŁKA

(Dokończenie).

SCENA 8-a.

Zosia. Ach, mamusiu, a takie ma nóżki sine.

Mama. Biedne dziecko.

Helunia. Już się obudził. (do Władzia). Jak się nazywasz?

Władzio. Władek Orzech.

Tadzio. A gdzie mieszkasz?

Władzio. Naprzeciwko, w suterynach.

Mama. Masz rodziców?

Władzio. Nie...

Zosia. Mamy nie masz? i tatusia nie masz?

Władzio. Ojciec dawno umarł, a mama... mama niedawno... (na wpiół z płuczem) tydzień temu.

Helunia. Mamusiu, jaki on biedny!

Władzio. Oj biedny, panienko. Ciotka się nami opiekuje, ale cały dzień w domu jej niema, bo chodzi do prania i... o panienko, u nas tak zimno, a czasami ciotka zostawi dziesiątkę na cały dzień, a nas czworo... ja najstarszy.

Zosia. A ile masz lat?

Władzio. Dwanaście. Dzisiaj tylko suchą kromkę chleba zjadłem i nic... i poszedłem poprosić o parę groszy, ale nie śmiałem nikogo zaczepić... jabym chciał pracować ale nie wiem gdzie iść...

Mama. Byłbyś bardzo szczęśliwy, gdybyś codzień mógł dać rodzeństwu talerz rosółu, prawda?

Władzio. O proszę pani!

Mama. A ja znam dzieci, które często grymaszą przy jedzeniu.

Helunia. O, już nigdy, mamusiu.

Zosia. Chodź Heluniu, pójdziemy po herbatę, pewno już gotowa. (wychodzą).

SCENA 9.

Mama. Rozgrzałeś się?

Władzio. O, tutaj tak miło, tak ciepło, o, jak ciepło!

Staś (na str. do Tadzia). Jak sądzisz, czy sięna Zosia i Helunia zgodzą?

Tadzio. Zgodzą się, przecież mają dobre serca.

Staś. A więc idę po list. (wychodzi).

SCENA 10 ta.

Mama (wyjmuje z szafy pończochy). Masz, Władzio, włóż na nogi, to ci się rozgrzeją.

Władzio. O, dziękuję pani. (wchodzi Zosia i Helunia z herbatą i chlebem).

SCENA 11-ta.

Zosia. Mamusiu, my mu damy nasze oszczędności, Helunia i Tadzio. Damy mu wszystko!

Zosia. Masz, pij i jedz. (stawia przed Władziem dzienie).

Mama. Dobrze z was dzieci. Ale czy sądzicie, że to dostateczna jałmużna dla tej biednej rodziny.

Tadzio. Ja... ja nie wiem.

Zosia. Może mamusia pozwoli, to ja dam moje tabuciki.

Tadzio. A ja czapeczkę.

Mama. I to mało. (przez ten czas Władzio pije herbatę).

Helunia. Mój Boże! ja nie wiem, o czym mamusia myśli. (wchodzi Staś z listem, siada i pisze).

SCENA 12-ta.

Wszyscy.

Mama. Dać raz pieniądze, a potem usunąć się, to mało. Wraz z jałmużną trzeba dać i serca trochę. Dać pieniądze, to każdy potrafi, kto je posiada, a nawet dziecko wiek o małym sercu. Ale wraz z groszem dać trochę pracy swojej i poświęcenia, to już wymaga szerszego i głębszego serca. A wy dzieci jakie serduszka mieć chcecie?

Zosia. O mamusiu, takie szerokie, szerokie.

Tadzio. Jak Wisła!

Helunia. Jak morze!

Mama. Ubierzcie się ciepło i pójdziemy z Władziem do jego mieszkania.

Staś (wstaje). Czy się zgadzacie na taką zmianę listu do aniołka: „Kochany aniołku, na gwiazdkę, daj nam w opiekę rodzinę biednego Władzia i naucz jałmużnowców, by jaknajlepiej spełnić to zadanie.”

Zosia, Helunia i Tadzio (razem). Dobrze! dobrze!

Staś. Mamuniu, tyś naszym aniołkiem, czy pomożesz?

Mama. Ale pamiętajcie dzieci, że nieraz pracy poświęcenia wymagać będę — czy zgadzacie się na to?

Zosia. Zgadamy na wszystko.

Mama. I bierzecie w opiekę rodzinę Władzia.

Dzieci. Tak mamo.

Zosia. Już głodnym nie będzie.

Staś. I na zimno narzekać.

Tadzio. Będziemy go kochali.

Helunia. On mamy niema!

Władzio. O mój Boże! jaki ja szczęśliwy! O mój Boże! (knie przed mamą). O niech pani Bóg nagrodzi (płucze).

Mama. Biedny sierota! No, nie płacz, nie płacz...

Władzio. To matula wymodliła u Boga opiekę wa-

żą. O mameczko! dziękuję ci, dziękuję!

(Kurtyna spada).

Z. Potworowska.

Dzienniczek Wandzi.

(Dalszy ciąg)

Na mojem łóżku leżało śliczne, maleńkie pudełeczko nkrustowane; otwieram je. O! Boże, cóż ja widzę, spełnienie moich marzeń. Kolczyki złote, ogromne, ślicznie wyobione, w indyjskim guście. Nie mogłam się im napażać i tak zgłupiałam, że nie spostrzegłam kartki małej w środku: „Georges Péllacot à sa petite amie Wandzia.” Kiedy tak stoimy na środku kajuty i podziwiamy to kwiaty, to kolczyki, wzrok mój dostrzega na łóżku ojca małe pudełko. Otwieramy, patrzymy, oczom naszym pokazują się złota, wschodniej roboty papierośnica, cała ażurowa, nadzwyczaj delikatna. Obracamy ją w palcach na wszystkie strony i spostrzegamy wyryty napis: Souvenir u 18/5 1900 r.

Teraz rozumiemy wszystko, to data topienia się Georgesa. Te kolczyki będą mi zarazem miłe i przykre, przypominając mi zawsze nie tylko bohaterstwo ojczulka, ale straszne chwile, które z tego powodu przeżyliśmy. W jednej minucie wszystko to stanęło mi w pamięci z płaczem rzuciłam się tatusiowi na szyję, jakbym go chciała raz na zawsze osłonić przed wszelkiem niebezpieczeństwem.

Colombo 30/5 1900 r.

Ogromnie mi dużo czasu zabrało opowiadanie pobytu na wyspie Ceylon, kilka dni pisałam i musiałam wzywać mamusi do porady, bo nieraz nie mogłam wybrnąć z opowiadania, tak dużo przez ten jeden dzień widziałam. Czas się znacznie ochłodził, jest wiatr, okręt się mocno buja. Pisałam w salonie, ale musiałam wyjść na pokład, było mi niedobrze.

Idąc tam spotkałam tatusia, jedzącego banana. Dał mi kawałek tego doskonałego owocu, popiłam go dwoma alerzami bulionu i zaraz mi było lepiej. Wczoraj wieczorem przy obiedzie prawie trzeciej części osób nie było, eżały chore po kajutach, albo na pokładzie. Ale ja jałłam, było chłodno, więc miałam apetyt i całą noc spałam znakomicie.

Morze coraz więcej wzburzone, wiatr dmie silnie, niebo ołowiane i niskie, prawie tuż nad naszymi głowami. Kolyszemy się coraz mocniej, w powietrzu czuć wilgoć i niepokój, bałwany zalewają pokład... Już pisać nie mogę... Nie wiem, jak się dostanę do naszej kajuty, chyba na czworakach. Jesteśmy w niebezpiecznym miejscu, bo przepływamy między Sumatrą a Malaką... Boże, miej nas w opiece.

Colombo.

Cud w ogóle, że żyjemy. Było z nami bardzo, ale o bardzo źle. Nie możemy pojąć, jakim cudem zostaliśmy wcaleni. Było to ta:

Musiałam przestać pisać wczoraj przed południem, dla zbyt silnego kołysania się statku. Z pomocą ojczulka poszłam na pokład. Był zalany przelatującymi bałwanami, które jak piętrzące się wodne góry biegły na statek, z wściekłością się nań rzucały, poczem bezsilne, rozpryskując się, opadały, a nowe ich zastępy z równą gwałtownością próbowały statek zdobyć.

Wiatr dął gwałtownie i wył straszliwie, co razem z szumem morza i pluskiem opadających bałwanów, stanowiło hałas piekielny. Nie można było wcale do siebie mówić, bo zanim słowo z ust padło, już je wiatr chwycił, głużył i zabierał z sobą, jak gdyby chciał ludzi przerazić, a potem upadłych na duchu tem łatwiej do swoich głębin zabrać. Colombo w tym obszarze rozhukanej wody wyglądał pomimo swego ogromu, bezsilny, bezradny, nie mogący stawić żadnego oporu rozszalałej burzy.

Przeżona stałam i trzymając ojca za rękę, patrzyłam szeroko otwartymi oczyma na ten straszny widok. Wiatr targał mi włosy, warkoczem bił po twarzy. Ojciec proponował sprowadzić mnie na dół, postanowiłam być odważną i odmówiłam, prosząc, aby mi wolno było zostać. Czulałam, ile mu przyjemności zrobię, okazując się śmiałą. Postąpiliśmy krok naprzód. Kapitan stał na pokładzie, wydając rozkazy. Głos jego spokojny, donośny i stanowczy słyhać było od czasu do czasu pomiędzy wyciem wiatru jednym a drugim. Majtkowie wykonywali komendę szybko i zwinnie. Zdzierali żagle, wiązali je sznurami, wbiegali i schodzili po drabinie z grubych lin, które mi wiatr poruszał i targał z taką siłą i mocą, jakby wołał jakiego morskiego geniusza kierowany, postanowił pracę tych ludzi w niwecz obrócić.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Od Maryli dla Wysokiej.

Z trzech liter tylko się składa,
Nazwę wyspy wypowiada,
A i ptaka też oznacza,
Co swym śpiewem las wzbogaca;
Lecz gdy wstecz to przeczytamy
Smaczny napój otrzymamy.

LAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Przez Stanisława Orlika dla W. K.

Gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby utworzyły nazwisko historyka i pisarza, wielce zasłużonego ur. w XVIII w. Znaczenie wyrazów: 1) Ryba żyjąca w wodach Europy od Elby do gór Uralskich. 2) Nabój łuku. 3) Przyprawa do ciasta. 4) Zwierzę zamieszkujące w górach. 5) Owoc drzew iglastych. 6) Książki obejmujące zbiór wyrazów. 7) Człowiek w wieku podeszłym.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 49 go

Szarady: Ta — el.

Arytmogryfu.

- 1) New-York. 2) Ibis. 3) Eyre. 4) Cenzura. 5) Zazdrość.
6) Yucca. 7) Nikobary. 8) Dwanaście. 9) Ramzes. 10) Ucayali.
11) Gondola. 12) Irena. 13) Europa. 14) Montevideo. 15) Unia.
16) Cybuch. 17) Omaha. 18) Teby. 19) Ojciec. 50) Bzura.
21) Itaka. 22) Edward. 23) Nagpur. 24) Islandya. 25) Eb!
26) Malarstwo. 27) Iskra. 28) Łabędź. 29) Orinoko.

Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.

Rebusiku: Słowo wyleci wróblem, a powróci wołem.

Skrzynka do listów.



Po otrzymaniu listów z żądaniem wysłania nagród konkursowych, wysłaliśmy je, dla: Kazity, Róży z Kolcami, Zosi Chmiełńskiej, Różyczki z Pod., Marynci Ilnickiej, Janci Henisz, Wańdzy Kojoleckiej, Mary Ludkiewiczówny, Lilijki z nad Świstoczy, Romci z Pod., Zosi z Niedziałki.

Kolędy Pani S. nie możemy pomieścić w tym roku, gdyż mamy już numer świąteczny cały zapelniony.

Orzeł B. Słusznie zauważył, że w dacie urodzin Czarneckiego, wkradła się pomyłka drukarska. Zamiast 1559 r. winno być 1599 r. gdyż Czarnecki żył lat 66, a nie 106.

Pani Bronisławie R. H. w Astrachaniu. „Księgę rzeczy starożytnych polskich” Glogera i żądają powieść wysłaliśmy. Obecnie po 1 stycznia 1901 r. nic się nam nie należy, a pozostałe u nas 30 kop. użyliśmy na kosztą przesyłki tych książek. Dziękujemy za życzliwe słowa i serdecznie współczujemy w nieszczęściu, którem Bóg ją nawiedził. Pojmujemy jak Wańdzy smutno po braciszku, niech w zajęciach miłych i pożytecznych szuka ukojenia i stara się pocieszyć rodziców, którzy większą od niej stratę ponieśli.

Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali: Marynia Tyszkiewiczówna, Stefan Liedt., Łyżwiarka Zbyszko z Bogdańca, Necia i Gwiazdka.

Bohdan Strasz. nadesłał zdanie 12-o wyrazowe o 86 sylabach.

Neci za pierwszą część listu, bardzo zajmującego dziękuję, a na dokończenie z niecierpliwością oczekiwać będę. Zadanie konikowe i kwadrat magiczny przysłałaś bez rozwiązań, których dołączenie jest przecie konieczne.

I Stokrotka 2-a zapomniała o rozwiązaniu łamigłównki kropkowanej, a my niestety nie mamy czasu „łamać głowy,” nad odgadywaniem zadań, pozostawiamy to zajęcie naszym miłym czytelnikom. Liścik snąć w wielkim pośpiechu pisany i tak skąpy w wiadomości, że z dłuższą odpowiedzią pospieszyć nie mogę. Po brakujące numeru zechciej się zgłosić do Redakcyi (Mazowiecka Nr. 10)

Romci z P. Przyznając nagrody za roboty, nie tylko ilość, lecz dobre i staranne wykończenie mamy głównie na względzie. „Róża bez kolców” czytana jest z wielkim zajęciem, jak nam o tem donosi wielu czytelników. Łamigłównki twoje będą oczekiwały swej kolei.

Zbyszkwowi z Bogdańca za rycerskie pozdrowienie — dank serdeczny.

Łyżwiarce. Chętnie pisywałabym do was sążniste listy, ale że ich sporą paczkę odbieram co tydzień, a miejsce na trzykrotnie bardzo ograniczone, zwłaszcza w końcu roku, gdy trzeba czytać dłuższe rzeczy, muszę się więc liczyć z każdym słowem w odpowiedzi. Wy nie jesteście w podobnym położeniu, więc nie scem liczyć się wam nie trzeba, a pomimo to, tylko w kilka słów odzywam się do mnie; na raz następną proszę o większą szczodroblivość.

Chyba niezupełnie słusznie obmawiasz się kochana listem do pisania, bo list, który w tej chwili leży przed mną, nie potwierdza tego oskarżenia. Długi na cztery strony, zapewne zna je z twojem otoczeniem i nie jeden ciekawy szczegół zawiera; zarzuciłabym tylko, że zbyt prędko przeskakujesz z jednego szczegółu do drugiego, ale zapewne pochodzi to z żywości twego usposobienia. Za śliczne kartki bardzo wdzięczna jestem. Jeżeli chcesz, to za zezwoleniem mamy, możemy podać adres twój i Reni dla wymiany kart z czytelnikami Wieczorów. Szkoda, że nie jesteś teraz w Warszawie, zwiedziłabyś wstaw kart.

Powiastrki Hajduczka oczekuję, a dziękując wam bardzo za oba miłe listy, pozdrawiam serdecznie.

Mary Lud. już dawno, bardzo dawno nie odzywała się do mnie, to też z wielką niecierpliwością oczekuję zapowiedzianego listu, a tymczasem i za to słówko dziękuję.

Ucieszyłam się Lilijko z nad Świstoczy, że otrzymała na groda sprawiła ci tyle przyjemności, a mam nadzieję, że poszły już rąk twoich. Zasłużyłaś na nią podwójnie, dobrem wyponiem i przewyciężeniem niechęci do igły. Udzielanie pierwszej Komunii Św. odbywa się z wielką uroczystością w wielu księstwach Warszawskich, po należytym przygotowaniu przystępujących dzieci, w czasie Zielonych Świątek i Bożego Ciała.

Nie zapomniałam cię, Wiesienko i bardzo serdecznie powitałam fiolkową ćwiartkę, która mi przyniosła tyle różnych wiadomości; zasmuciłaś mnie smutnemi, a zajęłaś ciekawem. Tak dobre i pod względem kaligraficznym i stylistycznym twoje listy, że odczytuję je z prawdziwą przyjemnością i chciałabym bierać jak najczęściej. Gdyby me imienniczki użyć mi się miały swych skrzydeł, pofrunęłabym do ciebie i poszłybyśmy razem zwiedzać w dzień mroźny piękne okolice twego miasta rodzinnego, które też jest mi bardzo miłe i drogie.

Słusznie się cieszysz Zosiu z Niedziałki, że już nieulka, lecz biedna dziecina korzystać będzie z owoców twej pracy. Do brze jednak, że najprzód szylaś sama dla lalek, bo powoli obrałaś wprawę i moesz się już wziąć do trudniejszej i pożyteczniejszej roboty. Młodsze rodzeństwo uściskaj ode mnie, a choć w małej części postaraj się zastąpić brak równieży listowną pogawędką, której zawsze chętnie słuchać i odpowiadać będę.

Kochanym trzem siostrzyczkom Wieszcze, Rusatce i Witkiance przesyłam wyrazy najserdeczniejszego współczucia i wielkim nieszczęściu, które Pan Bóg w tak młodym wieku na nie zesłał. Bądźcie jednak pewne, że matczka wasza kocha i z nieba na was spoglądała i modliła się za was

Wasza Jaskółka.

NOWE GRY TOWARZYSKIE:

„Mrowisko” i „Farys” nagrodzone na konkursie Przeglądu Pedagogicznego poleca sklep zabawek Pedagogicznych P. Kłobuchowskiego Chmielna Nr. 17.

Przez gruzdzień sklep w święta otwarty.

NAJWIĘKSZY WYBÓR

Ubrań dziecięcych

W MAGAZYNIE

JANINY

w Warszawie Marszałkowska Nr. 151.